Edmond Hamilton

Ogniki słońca

(Sunfire!)

`

Amazing Stories, September 1962
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Szedł przez sosnowy zagajnik, czując w nozdrzach przydymiony, żywiczny zapach drzew. Kiedyś już, daleko, daleko od Ziemi, spotkał się z zapachem, w jakiś nieokreślony sposób podobnym do tego. Zapomnij o tym, mówił mu głos z głębi umysłu. Ale nigdy nie zdoła go zapomnieć.

Wszystko w starym domu zdawało się być dokładnie tak samo, jak wtedy, zanim wyruszył w kosmos.

To niewiarygodne, pomyślał sobie Hugh Kellard, stojąc w przedpokoju i rozglądając się po zalanych słońcem pokojach, jak niewiele tutaj się zmieniło. Oczywiście, dzisiaj życie z domu uciekło, ci wszyscy ludzie, ich rozmowy, odgłosy wchodzących i wychodzących, tak wszechobecne, kiedy dziadek jeszcze żył i Hugh go tutaj odwiedzał. Ale to już było dawno temu i naprawdę był zdumiony, jak wiele z tego ciągle pozostało nietknięte.

„Powrót tutaj, do tej części Ziemi", rozmyślał Kellard, „to jak podróż w przeszłość".

Czuł zmęczenie, ciała, umysłu, nerwów, i stał przez chwilę, tylko się rozglądając. Agent, który zajmował się tym starym domem, wpuścił go do środka i zostawił go tu samego. W całym domu panowała zupełna cisza. Wszedł do salonu, gdzie koło okna nadal stało biurko jego dziadka, i wyjrzał na dwór. Okno skierowane było na północ, wyglądając na nadbrzeżne klify kalifornijskie, rozciągające się wzdłuż północnych brzegów Morro Bay, aż do Big Sur. Pacyfik pienił się i uderzał o wielkie porozbijane na kawałki kamienie u podnóża nadmorskich ścian skalnych, a wzgórza, ciemniejsze teraz w jesiennej szacie, rozpychały się mocarnymi grzbietami po wschodniej stronie prowadzącej na klify drogi. Widok ten był równie samotny jak zawsze. W zasięgu wzroku nie było żadnych innych domostw, i tylko ten, szary, potargany przez naturę dom, od ponad stu lat stawiał czoła morskim wiatrom i mgłom.

Kellard przeszedł z powrotem przedpokojem. Na ścianach ciągle wisiały, oprawione w ozdobne ramki, fotografie, które jego dziadek z uporem pielęgnował i utrzymywał. Prababcia, jakaś tam cioteczna babka i cała reszta tych ludzi, którzy odeszli w cienie. Wszyscy byli tutaj, pozostali nietknięci, tak samo jak nic w tym domu nie zostało ruszone, zgodnie z wolą dziadka. Trzeba zachować stary dom, mawiał. A pewnego dnia, chociaż część rodziny powróci.

Ten stary człowiek miał rację, pomyślał. Jeden z członków rodziny w końcu powrócił, ten który zawędrował dalej, niż niemal ktokolwiek inny z mieszkańców Ziemi.

„Teraz, jednak, z tym koniec”, pomyślał sobie. „Wróciłem i tutaj już zostanę. Skończyłem z kosmosem”.

Zaczął chodzić po pokojach, otwierając okna, wpuszczając do środka powietrze i światło. Meble były zmatowiałe i staromodne, ale dom nie był zakurzony. Agent dopilnował, żeby budynek utrzymywano w należytym stanie. Kellard wybrał dla siebie jedną z dużych sypialni na piętrze i poprzenosił do niej z samochodu koce, kartony i torby z rzeczami. Poszedł do pomieszczenia gospodarczego, aby włączyć jednostkę mocy. Robiąc to przypomniał sobie, jak dziadek nie lubił tego urządzenia i nie ufał mu, jak odmawiał w ogóle jego zakupu, dopóki wszystkie przewody elektryczne nie uległy zniszczeniu i nie było już innego sposobu dostępu do energii. Sprawdził piec i zamrażarkę, upychając do tej ostatniej swoje kartony z jedzeniem, a potem stanął, rozglądając się dookoła i zastanawiając się, co jeszcze jest do zrobienia.

Stał tak pośrodku milczącego domu i nagle naszła go myśl, czy nie popełnił głupstwa, tak wszystko rzucając i wracając na Ziemię, do tej starej posiadłości?

Nie, pomyślał ciężko. Merkury zakończył dla ciebie te sprawy. Podjąłeś decyzję i to jest to, o co chodzi. Zapomnij o wszystkim.

Gwałtownie wyszedł z domu i zaczął iść przed siebie. Wkrótce ponury ciężar w jego umyśle, ta mroczna wiedza, rozwiał się i wycofał poza nowo odkryte, od lat pieczołowicie hołubione zainteresowanie otaczającymi go rzeczami z przeszłości.

Ścieżka poprowadziła go przez drogę, za poniszczonymi stodołami i w górę, po nachylonych stokach pastwisk, na których jego dziadek kiedyś wypasał doskonałe konie, które hodował. Potem znalazł się między sosnami, gdzie ścieżka wspinała się bardziej stromo, zaś żywiczny zapach drzew mocno drażnił mu nos. Tego zapachu nigdy nie zapomniał, a kiedyś nawet spotkał się z zapachem w nieokreślony sposób podobnym do niego, ale było to daleko, daleko od Ziemi…

Zapomnij o tym, Kellard.

Drzewa wzięły go w swoje posiadanie i wędrował tak przez pocętkowane plamami słońca i cienia bezmiary. Niedaleko przed nim, pomiędzy sosnami, prześlizgnął się jeleń, a niemal spod stóp wystrzeliła mu w powietrze przepiórka. Przypomniał sobie o kępie większych sosen, rosnących wyżej na stoku oraz, jak stary człowiek i chłopiec wędrowali do nich pod górę. Jak dawno temu to było? Miał wtedy piętnaście lat – a teraz ma trzydzieści dwa. Siedemnaście lat temu. Nadal jednak potrafiłby znaleźć to miejsce.

Znalazł je. Wysokie sosny ciągle tam rosły, ale ludzie nie chodzili już po tym lesie, jak dawniej. Chropowate ciemne olbrzymy stały w

dostojnych odstępach, oddalone z respektem jeden od drugiego. Usiadł, opierając się plecami o potężny pień największej ze sosen.

To zabawne, pomyślał sobie. Kiedy byłem chłopcem, siadującym sobie tutaj, marzącym o przyszłości, o tym co będę w niej robił, ani razu nie pomyślałem, że pewne rzeczy mogą pozostać zupełnie takie same. Cały świat miał się jakoś cudownie zmienić – tylko, że tak się nie stało. To drzewo rosło tutaj, kiedy człowiek po raz pierwszy stanął na Księżycu, a potem na Marsie, Wenus i całej reszcie planet, ale ono nic o tym nie wiedziało, ani nie zmieniło się z tego powodu.

Kellard siedział przez długi czas, otulony w szare zmęczenie, z emocjami zastygłymi w odrętwiającym transie. Siedział tak, nasłuchując odległego, niespokojnego szmeru morza, dopóki światło zachodzącego słońca, przebijające się smugami przez korony drzew, nie zaczęło świecić mu w oczy. Wtedy podniósł się i ruszył z powrotem, do domu. Podgrzał sobie coś do jedzenia, zjadł kolację, a następnie wyszedł na ganek przed domem i siedział tam przyglądając się jak słońce zanurza się w rozległej, złotej tafli Pacyfiku. Pomyślał o malutkiej kropeczce, znajdującej się blisko słońca, której nawet nie był w stanie dostrzec; małej planetce, dziwnym, straszliwym miejscu, gdzie umarli Morse i Binetti.

Rozległ się dzwonek telefonu.

Kellard nawet się nie poruszył i telefon dzwonił i dzwonił.

Idźcie do diabła i dzwońcie sobie nawet do jutra, pomyślał. Nie dostaniecie mnie z powrotem. Powiedziałem wam przecież. Mówiłem.

Dzwonienie ustało. Słońce zatonęło pod wodą i roztoczyła się ciemność, usiana rojami wirujących gwiazd. I kiedy Kellard siedział patrząc i pijąc, nie było słychać niczego, poza potężnym pomrukiem przetaczającym się od strony morza.

W końcu wstał, ponieważ zaczęła unosić się mgła. Poruszał się powoli, ociężale, czując się dużo lepiej. Wszedł do środka i włączył światła, a potem powiódł wzrokiem po twarzach, spoglądających na niego z rzędów oprawionych w ramki fotografii.

Uniósł w ich stronę butelkę, w geście pozdrowienia.

— Spójrzcie, Kellardowie, oto wasz syn marnotrawny – albo raczej wnuk – wrócił do domu z wojaży po kosmosie.

Wypił z całkowitą powagą i dalej spoglądał po rzędach niewidocznych twarzy.

— Mieliście szczęście – wiecie o tym? Kiedyś, w waszych czasach, można było mieć nadzieje i marzenia, że droga ludzkości prowadzić będzie naprzód, przez wieczność, od sukcesu do sukcesu, nieustannie. Ale ta droga okazała się ślepym zaułkiem, była nim przez cały czas, nawet jeżeli jestem jedynym człowiekiem, który zdaje sobie z tego sprawę.

Twarze także spoglądały na niego, niezmienione, ale w ich spokojnym wzroku, pomarszczonych rysach twarzy, wyczytał wyrzut.

— Bardzo mi przykro — oznajmił Kellard. — Wy również mieliście swoje problemy, wiem. Przepraszam was, Kellardowie. Jestem bardzo zmęczony i trochę pijany, tak więc idę do łóżka.

Następnego dnia, rano, robił sobie właśnie kawę, kiedy rozległo się walenie staromodnej kołatki, wiszącej na drzwiach frontowych. Na twarzy Kellarda pojawiło się lekkie napięcie. Spodziewał się, że kogoś tutaj przyślą.

Nie spodziewał się, jednak, stojącego pod drzwiami człowieka. Nie miał na sobie munduru Inspekcji, chociaż należał do najgrubszych ryb, jakie w niej pracowały. Był to duży mężczyzna, o powolnych ruchach, z ciężką twarzą i niebieskimi oczyma, które, nieznającym go ludziom, wydawały się łagodne.

— No cóż — powiedział Kellard. A po chwili dodał: — Wejdź.

Halfrich wszedł do środka. Usiadł i z zainteresowaniem rozglądał się po starym pokoju i meblach.

— Ładnie — wymruczał. Potem spojrzał na Kellarda i zapytał. — W porządku, miejmy to już za sobą. Dlaczego odszedłeś?

Kellard wzruszył ramionami.

— Wszystko napisałem w liście, w którym złożyłem rezygnację. Jestem już trochę za stary i za bardzo zmęczony do Inspekcji. Ja…

— Brednie — stwierdził Halfrich. — To było pewnie coś związanego z tym wypadkiem na Słonecznej Stronie, co?

Kellard odparł powoli:

— Tak. Śmierć Binettiego i Morse’a oraz następstwa tego wstrząsu, spowodowały, iż uznałem, że nie chcę już nigdy przeżywać czegoś podobnego.

Halfrich spojrzał na niego.

— Miałeś już wcześniej wypadki. Widziałeś jak giną ludzie. Jesteś w Inspekcji niemal od tylu lat co ja i przeżyłeś już wiele podobnych wstrząsów. Kłamiesz, Kellard.

Kellard wstał, zrobił kilka kroków i odwrócił się w stronę gościa.

— No dobrze, a więc kłamię. Chcę odejść i co za różnica, dlaczego?

— To robi różnicę — ponuro oświadczył Halfrich. — Pamiętam cię z Akademii, chociaż byłeś dwa lata młodszy ode mnie. Byłeś najbardziej zbzikowanym na punkcie kosmosu kadetem, jaki kiedykolwiek istniał. Opowieści o chwale kosmicznych zdobywców aż tryskały z ciebie uszami, tak że rzygać nam się już od nich chciało. Nie zmieniłeś się przez te wszystkie lata w Inspekcji – aż do dzisiaj. Chcę wiedzieć, co mogło odmienić takiego człowieka jak ty.

Kellard nic nie odpowiedział. Podszedł do okna i wyjrzał na dwór, na długie grzywacze fal, nadciągające bez końca i rozbijające się o skały.

— Co takiego zobaczyłeś na Słonecznej Stronie, Kellard?

Na te słowa odwrócił się ostro w stronę Halfricha.

— Co chciałeś przez to powiedzieć? A co tam mogło być do zobaczenia, poza gorącymi skałami, wulkanami i, generalnie, kawałkiem piekła. Wszystko znajduje się w moim raporcie.

Halfrich przyjął postawę sędziego i przemówił tonem, jakby wygłaszał wyrok.

— Coś zobaczyłeś, coś tam spotkałeś. Ukryłeś całą sprawę, niszcząc film z automatycznej kamery rejestrującej. Cokolwiek na nim było nagrane, nie chciałeś, abyśmy to zobaczyli, tak?

Kellard podszedł do niego i odezwał się z gniewnym i popędliwym głosem.

— Czy nie zdajesz sobie sprawy, że my tam się rozbiliśmy i niemal spłonęliśmy? Taka katastrofa powoduje zniszczenia. Zabiła Binettiego i śmiertelnie zraniła Morse'a. A także zniszczyła kamerę rejestrującą.

Halfrich skinął głową.

— I właśnie tak sobie pomyśleliśmy, początkowo. Ale radar ma również odrębny rejestrator. To nowa rzecz. Binetti o tym wiedział, jako oficer łączności, ale jak mi się wydaje, nie powiedział ci o tym, inaczej byś go również zniszczył. Na jego zapisie coś widać.

Kellarda przeszyło uczucie chłodu. Myślał, że stworzona przez niego przykrywka bierze pod uwagę wszystko, ale jak widać kalkulacje te opierały się na niepełnych danych.

Utrzymał swoje uczucia na wodzy. Zapis radarowy nie był tak dokładny jak zdjęcia, na jego podstawie nie dawało się zbyt wiele udowodnić. Tak więc z pewnością nie mogli z niego wywnioskować prawdy. Nie wolno, aby ją poznali.

Roześmiał się pozbawionym wesołości tonem.

— Zapis radarowy sporządzony na Słonecznej Stronie, nie jest wart papieru na którym go wydrukowano. Burze radioaktywne, powodują że zapisy radarowe są praktycznie niemal niewiarygodne.

Halfrich obserwował go z uwagą.

— Ale nie całkowicie. A obok i przez szum zakłóceń oraz fałszywe straszydła, zapis całkiem wyraźnie pokazuje, że po katastrofie wyszedłeś ze statku, pokonałeś odległość około tysiąca jardów i tam zbliżyły się do ciebie jakieś obiekty, zarejestrowane w sposób bardzo niewyraźny, ale niewątpliwy.

Przerwał, a po chwili zapytał:

— Kellard, kogo – czy co – tam spotkałeś?

Kellard wewnątrz zachował chłód, ale pomimo wszystko wydał z siebie oburzone prychnięcie, które, jak miał nadzieję, było przekonywujące.

— A kogo niby mogłem spotkać na Słonecznej Stronie? Dziewice, odziane w piękne i zwiewne szaty? Przecież wiesz, że pomijając wszystko inne, tam jest tylko czterysta stopni Celsjusza, praktycznie nie ma atmosfery i w ogóle niewiele można tam znaleźć poza promieniowaniem Słońca, gorącymi skałami i wulkanami. Mówię ci, że ten zapis radaru jest bezwartościowy.

Halfrich przyglądał się mu badawczo, z tym swoim łagodnym, oceniającym wyrazem twarzy, który Kellard tak dobrze znał i którego tak bardzo nie lubił. Ten właśnie wyraz, pojawiał się na twarzy Halfricha wtedy, kiedy przestawała się liczyć przyjaźń, a zaczynało dobro Inspekcji.

— Nadal kłamiesz — stwierdził. — Coś tam spotkałeś albo widziałeś. I to, ci coś zrobiło – coś co spowodowało twoją rezygnację. Coś, co wyciągnęło z ciebie cały zapał i życie.

— Och, do diabła, bądź rozsądny! — gniewnie odparł Kellard. — Wiesz przecież, że na Słonecznej Stronie nie może istnieć życie w żadnej formie. Nawet moja misja, to było dopiero drugie lądowanie tam Inspekcji. Pierwszym, była misja Pavlika, i on nic tam nie widział. Tak samo jak i ja. Przestań śnić na jawie. Wracaj do swojej pracy na Mojave i zostaw mnie w spokoju.

Halfrich wstał.

— W porządku — powiedział. — Wracam do bazy. Ale ty lecisz ze mną.

— O, nie — odparł Kellard. — Skończyłem z tym, odszedłem, zrezygnowałem.

— Twoja prośba o rezygnację została odrzucona — oświadczył mu Halfrich. — Nadal podlegasz rygorowi służbowemu Inspekcji. Albo będziesz wykonywał rozkazy, tak jak zawsze, albo staniesz przed sądem wojskowym.

— A więc, to tak — stwierdził Kellard.

Halfrich skinął głową.

— Tak, właśnie tak. Nie podoba mi się, że muszę to robić. Jesteś moim starym przyjacielem. Ale…

— Ale Inspekcja jest najważniejsza — dokończył Kellard, cedząc słowa między zębami.

— Inspekcja — potwierdził Halfrich — jest najważniejsza. Musi być. To dzięki temu mamy stacje na Wenus, Marsie i Ganimedesie, nie mówiąc już o Księżycu. To dzięki temu, pewnego dnia, będziemy mogli wyruszyć w głęboki kosmos i sięgnąć do planet innych gwiazd. I jeżeli jeden z moich najlepszych ludzi nagle odwraca się plecami do kosmosu i nie chce powiedzieć dlaczego, to niech mnie diabli, jeśli tego z niego nie wyduszę. Cokolwiek znalazłeś na Merkurym, to nie należy do ciebie, to należy do nas wszystkich i w końcu to dostaniemy.

Kellard popatrzył na niego i zaczął coś mówić, ale przerwał, a potem odwrócił się do Halfricha plecami i wyjrzał przez okno, na morze. Cichym głosem, powiedział:

— Niech tak będzie, John. Ale mówię ci tu i teraz, że będziesz żałował, jeśli się nie zatrzymasz.

Na takie stwierdzenie nie było żadnej odpowiedzi, a właściwie jedyną odpowiedzią było milczenie.

— No dobrze, nałożyłeś mi pętlę na szyję. Wrócę z tobą do bazy. Nie powiem ci jednak ani słowa więcej niż tutaj.

— W takim razie — odparł Halfrich, — polecimy w kosmos, na Słoneczną Stronę, a ty lecisz razem z nami.

Kellarda przepełniła zrodzona z desperacji wściekłość. Próbował oszczędzić tego ludziom – Halfrichowi, Inspekcji, całej ludzkiej rasie. Ale oni nie chcieli tak zostawić tej sprawy. Niech ich diabli, pomyślał sobie, jeżeli muszą to zrobić, niech to spadnie na ich głowy.

— W porządku — oznajmił stanowczo. — Wezmę tylko kurtkę. Zakładam, że masz tu gdzieś jakiś latacz.

Niecałą godzinę później, szybki latacz przemknął nad skalistymi górami, a następnie pustynią, i wkrótce wystrzeliła im na spotkanie błyszcząca, pełna splendoru Baza Mojave. Wysokie, smukłe statki lśniły jakby zbudowane były ze srebra, a ich widok, jakieś nieokreślone wrażenie z nimi związane, powodowało, że myślało się o tym skrawku pustyni, jako o czymś co nie należy już do Ziemi lecz jest częścią kosmosu, stacją przesiadkową, pierwszym przystankiem na drodze do gwiazd.

Tak właśnie, pomyślał sobie Kellard, wyglądało to również w jego oczach, kiedy przyleciał tu po raz pierwszy, wiele lat temu. I nie był to tylko słomiany zapał młodego człowieka. Przez te wszystkie lata pracy i walki z niebezpieczeństwem, pogłębił się on jeszcze i umocnił – aż do czasu Słonecznej Strony. I, o Boże, dlaczego musiałem tam polecieć, w to miejsce, akurat w tej właśnie chwili. Mógłbym przeżyć całe dalsze życie, wykonując swoją robotę, wszyscy moglibyśmy to robić, nawet nie domyślając się prawdy.

Wiedział, że w tej chwili nie ma już wyboru. Musi wrócić z nimi na Słoneczną Stronę. Ponieważ, nawet gdyby powiedział im prawdę, nie uwierzyliby mu, nalegaliby na zorganizowanie wyprawy, aby zobaczyć wszystko na własne oczy. Zachował więc milczenie – i to było wszystko, co mógł teraz zrobić.

* * * *

Cztery dni później eksperymentalny krążownik Y-90, przystosowany do badań kosmicznych i posiadający pełne wyposażenie anty-termiczne, wystartował z Mojave. Kellard zachował milczenie. Milczał również i teraz, siedząc w uprzęży antywstrząsowej, przyjmując kolejne szarpnięcia, słuchając pochrząkiwań siedzącego obok niego Halfricha i złośliwie ciesząc się nadzieją, że temu drugiemu, zupełnie się to nie podoba.

Halfrich zabrał ze sobą konsultanta, biofizyka, człowieka w średnim wieku, o ostrej twarzy i nazwisku Morgensen, który też zupełnie nie wyglądał, jakby ta misja go cieszyła. Ale trzech ludzi z załogi Y-90, to byli młodzi dwudziestoparolatkowie. Zachowywali się w stosunku do Halfricha i Kellarda, jakgdyby byli oni jakimiś bohaterami z legend, ponieważ w Inspekcji dwanaście do piętnastu lat misji kosmicznych, było już całą epoką.

Dopiero wtedy, kiedy pokonali długą drogę przez zalaną promieniowaniem słonecznym przestrzeń kosmiczną i spędzili ze sobą wiele czasu, jeden z tej trójki, nawigator Shay, zaryzykował zwrócenie się do Kellarda:

— To pan, sir, był w załodze pierwszej misji na Ganimedesa, nieprawdaż?

Kellard skinął głową.

— Tak, byłem.

— Czyż to nie było coś? — oznajmił Shay. — To znaczy chodzi mi o bycie pierwszym.

— Tak, to było coś — odparł Kellard.

— Może pewnego dnia i ja… — Shay zaczął mówić, przerwał, a potem podjął dalej. — Miałem na myśli, że jeśli napęd międzygwiezdny zostanie udoskonalony tak szybko jak się mówi, to być może będę mógł być jednym z tych pierwszych, którzy tam się znajdą? Sir?

— To możliwe — powiedział Kellard. — Ktoś musi być pierwszy. Gwiazdy czekają na nas. Wszystko, co musimy zrobić, to latać coraz dalej w kosmos, nie zatrzymywać się, a wtedy gwiazdy będą nasze, tak jak nasze są już planety, i wszystko będzie nasze, na wieki wieków, amen.

Shay spoglądał na niego zmieszanym wzrokiem, szurając nogami, a potem odszedł od niego. Halfrich, który przysłuchiwał się całej rozmowie, tylko się temu przyglądał. Potem powiedział:

— Czy musiałeś dać temu dzieciakowi w twarz?

Kellard wzruszył ramionami.

— A co ja takiego powiedziałem? Tylko powtórzyłem to, co czują wszyscy w dzisiejszych czasach. Chwała zdobywcom kosmosu.

— Wiele bym dał — stwierdził Halfrich, — aby się dowiedzieć, co cię gryzie. Niedługo dolecimy na Słoneczną Stronę i sami się tego dowiemy, ale szkoda, że nie chcesz mi tego powiedzieć teraz.

— W porządku — odparł Kellard. — Powiem ci. Zostałem wydziedziczony. To właśnie mnie gryzie.

Nic więcej nie powiedział, a przynajmniej jego milczenie trwało do chwili, kiedy Halfrich nie zadał mu kolejnych pytań, gdy Y-90 znajdował się już daleko poza orbitą Wenus i zaczął przechodzić do schematu podejścia.

— Zakładam — powiedział Halfrich, — że nie masz w stosunku do żadnego z nas osobistej urazy. Jeżeli czeka tam na nas jakiekolwiek niebezpieczeństwo, chyba już czas, żeby nam o tym powiedzieć.

Kellard zastanawiał się przez chwilę.

— Jak przypuszczam, macie zamiar wylądować w tym samym miejscu, w którym się rozbiliśmy.

— Oczywiście.

— No to, lądujcie — odparł Kellard. — O ile mi wiadomo, nie ma tam niczego, co mogłoby wam wyrządzić jakąś krzywdę.

Przyglądał się na skanerze jak Merkury powoli toczy się w ich kierunku, malutki biały półksiężyc, trudny do dostrzeżenia na tle Słońca. Słońce było tutaj bowiem monstrualnie wielkie, udekorowane wijącymi się płomieniami, zupełnie zaćmiewało gwiazdy, zalewając cały ten obszar energią, która już dawno by ich zabiła, gdyby nie urządzenia anty-termiczne statku.

Kellard przypomniał sobie, jak leciał tą trasą poprzednio. Binetti coś cytował, jakiś wers z poezji Williama Blake'a[1], jak twierdził. „Dążenie ćmy do gwiazd". I tacy właśnie byliśmy. Trzy małe ćmy, zmierzające prosto do rozpalonego ogniem pieca – i tylko mnie udało się z niego wydostać. A teraz znowu tam wracam.

Y-90 rozpoczął podejście do lądowania. Prześlizgnął się nad ciemną stroną Merkurego, ponad czarnymi ścianami skalnymi, wierzchołkami i otchłaniami, które nigdy nie widziały Słońca. Potem wydawało się, że wzdłuż całej rozciągającej się przed nimi linii horyzontu wybuchło światło, pędząc szaleńczo w górę, i byli już nad Słoneczną Stroną.

W dawnych czasach, tę małą planetkę nazywano „księżycem Słońca" i wyglądała dokładnie tak jak on, takie same surowe, pozbawione życia, skaliste równiny, grzbiety górskie, rozpadliny, sterczące jak sztylety wierzchołki, w miejscu w którym brak atmosfery powodował zupełny brak erozji. Księżyc, jednak, był zimny i zastygły w bezruchu, podczas gdy Słoneczna Strona zdawała się wręcz tętnić ponurymi podziemnymi ogniami. Wulkany wypluwały popioły i lawę, a lejąca się z góry piekielna burza energii spowijała wszystko drżącą mgiełką. Kiedy Y-90 wylądował, wskaźniki na pulpicie pokazywały, że temperatura zewnętrznej warstwy kadłuba wzrosła do czterystu stopni.

A przed nimi, rozpościerała się szeroka dolina, która wciąż prześladowała go w snach.

Wyrastające wzdłuż niej przysadziste stożki wulkaniczne ciągle wylewały z siebie popioły i pyły, zaś cały ten widok dokładnie przypominał to, co widział ostatnio, spoglądając za siebie z krążownika ratunkowego, który przyleciał ze Stacji Wenus, aby go stąd zabrać. No i ten metaliczny błysk na dnie doliny, w miejscu gdzie leżał zgnieciony wrak statku, w którym zginął Binetti, a potem Morse.

Spojrzenie Kellarda pobiegło w miejsce znajdujące na północ od wraku, na rumowisko skłębionych skał o dziwnych kształtach. Poczuł, że pocą mu się dłonie. Może tam niczego nie będzie. Przecież, chyba, to wszystko nie mogłoby się wydarzyć ponownie?

Wylądowali i po miażdżącym uszy ryku rakiet, jednostajna wibracja urządzeń anty-termicznych wydawała się być niemal uspokajająca.

— Czy skafandry są gotowe? — spytał Halfrich Morgensona.

Biofizyk nerwowo skinął głową.

— Trzy skafandry z urządzeniami anty-termicznymi, przetestowane zostały na wszystkie sposoby, w czasie drogi.

[1] Raczej chodzi tu o jeden z wierszy Shelleya „One word is too often profaned" (przyp. tłumacza).

— Jeden skafander zostaje tutaj, na wszelki wypadek — polecił Halfrich. — Na zewnątrz wyjdziemy Kellard i ja, kiedy tylko pojawi się coś, co warto obejrzeć. Zaczniemy od obserwacji ze środka.

Halfrich polecił włączenie rejestracji przy pomocy kamer teleskopowych i radaru, skupiając się na miejscu, w którym znajdowały się dziwacznie ukształtowane skały. Potem, siedzieli tam, na Słonecznej Stronie i obserwowali. Czekali.

Nic.

Nadzieje Kellarda zaczęły rosnąć. Miałem rację, powiedział sobie, to nie może wydarzyć się ponownie.

— Jak długo — spytał, — będziemy tutaj siedzieć, czekając na nic, z powodu jednego zwariowanego zapisu radarowego? Jeżeli te urządzenia chłodzące zawiodą choćby na pięć minut, usmażymy się na frytki.

Halfrich spojrzał na niego ponurym wzrokiem.

— Powiem ci jak długo będziemy czekać. Dopóki nie powiesz nam prawdy i sami nie zobaczymy, że to jest prawda. Tak długo.

Kellard wzruszył ramionami.

— Jeśli chcesz to rozegrać w ten sposób. Powiedziałbym ci, że możesz iść do diabła, gdyby nie to, że już jesteśmy w piekle.

Obserwowali więc i czekali dalej.

W końcu Morgenson powiedział, z narastającą nutą ekscytacji:

— Coś tam jest…

Halfrich szybko dopadł do wizjera. Kellard, patrząc przez skaner, zobaczył gejzer płomieni, który wystrzelił w górę z rumowiska skał. Rósł coraz wyżej, powoli ale nieustannie.

— Co to jest? — spytał go Halfrich.

— Chyba sam widzisz — odparł Kellard. — To przepust, który wyrzuca płonące gazy z wnętrza komory wulkanicznej. Coś takiego wydarzyło się już dwukrotnie, kiedy czekałem we wraku.

Halfrich oświadczył:

— To jest w tym samym miejscu, w którym zarejestrował cię radar, razem z tymi innymi impulsami. Coś tam jest… Musimy wyjść i rzucić na to okiem.

— Jeżeli musisz… — stwierdził Kellard. — Zobaczysz, że to tylko to, co ci powiedziałem.

Wtłoczyli się w pancerze cieplne, To był niewygodny sprzęt, ponieważ musiało się w nim znaleźć miejsce na efektywny system chłodzący, a długa rura odprowadzająca ciepło, była prawdziwym utrapieniem. Kellard spędził wiele dni w jednym z takich skafandrów, czekając na statek ratunkowy po katastrofie i z niechęcią myślał o ponownym jego założeniu.

Halfrich sprawdził radio, a potem powiedział:

— W porządku, Shay, pilnuj nas tam na zewnątrz i czekaj w pogotowiu. Morgenson, ty przez cały czas obserwuj.

Stanęli na powierzchni Słonecznej Strony.

Runęła tam na nich taka burza promieniowania, takie strugi gorąca i światła, że instynktownie pochylili nisko głowy tak jakby walczyli z silnym wiatrem. Wykonanie przez ten huragan każdego kroku do przodu, wymagało olbrzymiego wysiłku woli, ale Halfrich to zrobił. Szli więc, powoli i ciężko, początkowo widząc tylko poczerniałą skałę pod nogami, malutkie kałuże i stróżki roztopionego ołowiu, zaś ich potężnie opancerzone stopy zagłębiały się w podłoże.

Potem, kiedy odeszli dalej od statku, napór energii aż ich wyprostował. Przez płytę czołową swego hełmu, przyciemnioną wieloma warstwami filtrów, Kellard zobaczył z przodu kolumnę ognia. Obecnie miała już sto stóp wysokości, rosła coraz wyżej i chociaż na tej niemal pozbawionej atmosfery planecie nie mogły istnieć żadne dźwięki zrodzone z drgań powietrza, odgłosy ognistej kolumny docierały do nich przez grunt oraz podeszwy ich butów, pulsujące dudnienie i ryk, wprawiające w drżenie ich całe ciała.

Doszli do skalnego rumowiska i zatrzymali się. Teraz fontanna ognia była już tak wysoka, że musieli odchylać głowy do tyłu, aby popatrzeć na zwieńczający ją grzebień. Pod nimi miały miejsce jakieś niewyobrażalne skurcze i rozkurcze serca ognistej planety, których efektem był ten okresowy gejzer płomieni. Skały trzęsły się i huczały, zaś ogień szalał coraz wyżej. Kellarda ponownie nawiedziły myśli o tym, co za diabeł siedzi we krwi naszej rasy, że popycha nas w takie miejsca, gdzie w ogóle nie powinno nas być?

— Mówiłem ci — powiedział do Halfricha. — Po prostu otwór wyrzutowy gazów, to wszystko.

— Impulsy na zapisie radarowym poruszały się — odparł Halfrich. — Tu musiało być coś więcej.

— Tylko rozejrzyj się wokół siebie! — zawołał desperacko Kellard. — Czy widzisz tu cokolwiek, co by się poruszało, cokolwiek co by się w ogóle *mogło* poruszać? Myliłeś się, Halfrich. Czy masz zamiar trzymać nas wszystkich tutaj aż do śmierci, ponieważ nie jesteś w stanie przyznać się do popełnienia błędu?

Halfrich zawahał się.

— Nie myliłem się. Po prostu ciągle kłamiesz. Ale wrócimy do statku i będziemy czekać dalej.

Odwrócili się plecami do fontanny ognia i Kellard poczuł, że po czole ścieka mu pot. Skoro nic nie wydarzyło się tym razem, to przecież nie mogli czekać tu bez końca, będą musieli niedługo odlecieć…

W uszach zabrzęczał im głos Morgensona.

— Pojawiły się impulsy, zbliżają się… — A potem nagle zaczął krzyczeć. — Widzę je! One…

Halfrich okręcił się wokół siebie, z gracją słonia. Pomiędzy nimi i fontanną ognia, nie było niczego. Niczego też nie było widać wokół buchających płomieni.

— Nad wami, obniżają się! — krzyknął Morgenson. — Mój Boże, co…?

Kellard powoli uniósł głowę. Ponieważ wiedział czego szukać, zobaczył je, podczas gdy Halfrich ciągle rozglądał się, szukając.

Nadleciały, śmigając w dół prosto z nieba. Tym razem były cztery – nie, pięć. Wyglądały jak pięć zawirowań lśniącego światła, tak jasnych, że rozbielone przez słońce niebo wydawało się wokół nich ciemne.

Halfrich oszołomiony stwierdził:

— Nie widzę ich…

Kellard pokazał mu w górze.

— Tam.

— Te płatki ognia?

— Nie płatki ognia — wyjaśnił Kellard. — To są dzieci gwiazd.

Halfrich zesztywniał, wpatrzony w niebo. A Kellard teraz już wiedział, że nie ma żadnej nadziei. Nawet najmniejszej.

Pięć jasnych obiektów mknęło w dół, w stronę wielkiej fontanny ognia. Zanurkowały w nią, a potem zanurzyły się w jej wnętrzu i zaczęły wznosić się na fali, tak szybko, że ledwie można było nadążyć za nimi okiem. Pojechały w górę gigantycznego gejzera, radośnie w nim figlując. Fontanna buchała coraz wyżej, zaś pięć ogników mknęło w jej środku, wirowało i tańczyło na jej unoszącym się strumieniu, tak że Kellardowi zdawało się, jakby radośnie się śmiały.

Nurkowały w ten sposób w środek strzelających płomieni, wyskakując z nich, aż w końcu jeden z nich skierował się w dół, do miejsca, w którym stali Halfrich i Kellard. W jego nagłym ruchu, było coś tak po ludzku celowego, że Halfrich mimowolnie zrobił krok do tyłu.

— Stój nieruchomo — polecił Kellard.

— Ale… — zaprotestował Halfrich.

— Nie zrobią nam krzywdy — powiedział Kellard, stanowczym i ponurym głosem. — One są przyjazne, ciekawskie i chcą się bawić. Nie ruszaj się.

Teraz już cała piątka pędzących ogników, krążyła wokół nich, śmigając, wycofując się, a następnie ponownie ślizgając się do przodu, aby dotknąć ich skafandrów termicznych ciekawskimi mackami żywej mocy, żywego światła.

Halfrich odezwał się, próbując powstrzymać drżenie w głosie, ale formując głoski i słowa w przyduszony sposób.

— Czuję coś… w myślach…

— One są telepatami, w sposób, w jaki nie jesteśmy w stanie sobie nawet wyobrazić — wyjaśnił Kellard. — W dodatku są strasznie ciekawskie. Są ciekawe nas, tego czym jesteśmy, w jaki sposób myślimy. Potrafią jakoś złączyć swoje umysły z naszymi. — I dodał jeszcze z ostatnim okrutnym impulsem umierającego gniewu. — Chciałeś wiedzieć. No to, teraz wiesz.

Nie miał czasu aby powiedzieć cokolwiek więcej, zanim trafiło go uderzenie, dokładnie tak samo jak kiedyś w przeszłości, kompletnie

oszałamiający wstrząs nieziemskich umysłów, łączących się z jego własnym, przeszukujących jego myśli i wspomnienia.

Ciekawskich, tak. Jak dzieci, które znalazły dziwne, niezwykłe stworzenia i chciały się dowiedzieć jak one żyją. Weszły do jego umysłu, a umysł Kellarda wszedł do ich myśli, złączył się z nimi i ponownie poczuł oszałamiający wir wspomnień i wrażeń, które nie należały do niego, których jego odmienna, bardziej zwierzęco-fizyczna natura nigdy nie była w stanie ogarnąć bardziej niż mgliście.

Ale takie nawet na wpół zrozumienie, było porażające. Nie był już Hugh Kellardem, człowiekiem z krwi i kości, który urodził się na otoczonej warstwą powietrza, ciężkiej planecie o nazwie Ziemia.

Stał się jednym z dzieci gwiazd.

Jego pamięć sięgała daleko w przeszłość, ponieważ jego życie było niemal nieograniczone w czasie. Od dawna, tak dawna, że przekraczało to ludzkie pojęcie, żył wraz ze swymi towarzyszami dziwnym i pięknym życiem swojego gatunku.

Zrodzony przez gwiazdy, przez niemożliwe do wyobrażenia siły, ciśnienia, temperatury, warunki atomowe, panujące we wnętrzu olbrzymich słońc. Zrodzony jako końcowy produkt łańcucha ewolucyjnego niemal tak starego jak sam Wszechświat, polegającego na organizowaniu się fotonów, które dążyły do świadomości, do uzyskania osobowości i wolnej woli. Ich ciała stworzone były raczej z energii niż materii. Ich zmysły nie miały nic wspólnego ze wzrokiem lub słuchem, ich ruch był pozbawionym wysiłku pędem i ślizganiem, równie szybkim jak poruszanie się fotonów samego światła.

Nie miały one nigdy do czynienia z innym rodzajem życia we wszechświecie, z ciężkimi, powoli poruszającymi się stworzeniami, które rozwijały się na stosunkowo zimnych, ciemnych planetach, One były dziećmi słońc, a nie planet – i te mroźne dla nich światy, zbudowane ze stałej, twardej materii, były dla nich tak odpychające, że do większości nie chciałyby się nawet zbliżyć.

Dzieci gwiazd, dzieci gwiazd, od dzieciństwa pławiące się w potężnych wspaniałościach gwiezdnych płomieni i zdolne do przemieszczania się jak światło od gwiazdy do gwiazdy. Kellard ponownie poczuł udręki tej niesamowitej ekstazy, którą mógł poczuć w tym wspólnym umyśle.

„My twory materialne, my ludzie, którzy myśleliśmy, że kosmos i gwiazdy mogą być kiedyś nasze…”

Ale w jaki sposób, szeroki wszechświat mógłby należeć do materialnych, ciężkich, fizycznych stworzeń, które muszą z trudem podróżować otoczone bańkami powietrza, które pełzają między jakimiś nieistotnymi planetami zamknięte w metalowych grobowcach, które nie mogą nawet zbliżyć się do wspaniałych wielkich słońc.

Nie, ta ekstaza była jedną z tych rzeczy, których ludzie nigdy nie doświadczą, chyba że z drugiej ręki, w czasie takich krótkich kontaktów! Wspaniałe wspólne śmiganie dzieci gwiazd, poprzez olbrzymie przestworza

kosmosu, sączenie energii z otaczającego ich promieniowania. Śmiałe i niebezpieczne żeglowanie wzdłuż linii brzegowych ciemnych mgławic, wyścigi z pędzącymi kometami i pozostawianie ich daleko w tyle, dalej i dalej, dopóki nie poczujesz wszystkimi swoimi fotonami przyzywającego ciepła gwiazdy, do której się zbliżamy. Bracia, zignorujmy te pełznące wokół niej kupy żużla, nazywane planetami, mknijmy szybciej i szybciej, droga była długa, ale już niemal jesteśmy u celu! Teraz, promieniowanie, które było takie słabe w ciemnościach pełnego kosmosu, stało się silne, pokrzepiające, a w naszą stronę wyciągają się ogromne protuberancje, jak ramiona przygarniające nas do piersi. Po raz kolejny wstrząs i radość pierwszego ponownego nurkowania, w nową gwiazdę. Zanurzmy się głęboko, bracia, głęboko pod zewnętrzne płomienie, w pulsujące głębie słonecznego pieca, gdzie atomy miażdżone są jak w kuźniach, zmieniając, dostosowując swoje kształty, eksplodując w formie energii.

Kręćmy się w wirach wielkich gwiezdnych tornad, wyrzucani w górę i opadający na łeb na szyję, a potem ponownie nurkujący ze śmiechem na ustach. Szukajmy innych istot naszego gatunku, a jeśli tutaj ich nie ma, to będą przy następnej gwieździe. I znowu w górę, poza gorące ognie, a potem spokojne, senne dryfowanie w perłowej poświacie korony, nieskończone popołudnie ciepła, światła, spokoju.

Nagle, na zwróconej ku słońcu stronie pobliskiej malutkiej planetki, pojawiła się nowa zabawka. Fontanna ognia i światła, wytryskująca z litej skały. Przynajmniej możemy tam polecieć, ponieważ to miejsce zalewane jest falami życiodajnej energii słonecznej, a nie zmrożone i martwe. Mkniemy więc w dół, w jego stronę, w stronę ognia, który tryska wysoko z odrażająco stałej i twardej materii. Figlujemy w fontannie, przelatując przez nią i krążąc wokół niej, podczas gdy ona coraz bardziej rośnie. Ale cóż to za stworzenia, poruszające się po skale w jej pobliżu, stworzenia, które wyglądają tak groteskowo, jak gdyby to materia została obdarzona życiem. Sięgnijmy do nich naszymi zmysłami myślowymi i spróbujmy je zrozumieć. Umysły, życie – w materii! Próbujemy zrozumieć jak myśli materia, jak materia czuje, wyciągnąć z nich ich groteskowe wspomnienia, z perspektywy istot pełzających po dnie miażdżących oceanów atmosfery, istot stworzonych ze zbyt kruchej gliny, aby trwać wiecznie, a jednak które w swoim krótkim życiu zdołały tutaj dotrzeć. Jednak umysł wzdryga się przed takimi wspomnieniami, takim życiem.

Bracia, odlatujemy! Najpierw, aby odświeżyć się w najgłębszych strumieniach gwiazdy, a potem wyruszyć dalej przez głębiny kosmosu, do następnej gwiazdy, o której wiemy. Nie ma tu niczego, co mogłoby nas zatrzymać…

I wspólnota zniknęła z umysłu Kellarda, przestał być dzieckiem światła i gwiazd, stał się na powrót cielesnym człowiekiem, który stoi ogłupiały, chory i wstrząsany opadającymi płomieniami fontanny.

Popatrzył na Halfricha. Ale Halfrich stał tylko ze spuszczoną głową i Kellard poczuł w stosunku do niego tylko litość.

Dotknął jego ramienia.
— Wracajmy na statek.
Przez dłuższą chwilę Halfrich nie odpowiadał. Potem odwrócił się i ruszył z opuszczoną głową, nie patrząc ani razu na jaśniejące niebo.

* * * *

W ich niewielkim statku usiadł później razem z Kellardem. Jeszcze nie rozmawiali ze sobą, a Morgenson i pozostali, zbici z tropu i wystraszeni, ciągle nie ośmielali się zadawać żadnych pytań. W końcu Halfrich popatrzył na Kellarda z nadal widocznym bólem w oczach.
— Długo myślałem — powiedział Halfrich. — Wspominałem mojego małego synka, wiele lat temu. Dopiero co nauczył się chodzić, i pierwsze co zrobił, to ruszył przez drzwi na dwór, z zapałem próbując eksplorować całe miasteczko. Potknął się, uderzył w palec, a potem usiadł i zaczął płakać.
— Próbowałeś mi tego oszczędzić — kontynuował Halfrich po krótkiej chwili. — Dziękuję ci za to, Kellard. Nie udało ci się, ale mimo to dziękuję.
Kellard odparł:
— Posłuchaj, nikt inny nic nie wie. Prawdopodobnie, nikt inny w ogóle się nie dowie. Jedynym miejscem w którym materialni ludzie i dzieci gwiazd mogliby się spotkać, jest takie miejsce jak Słoneczna Strona, a ile takich spotkań może przypadkiem się przydarzyć? Nie musimy nikomu o tym mówić, aby nie odbierać im serca i zapału, poprzez uświadomienie im, że w kosmosie zawsze będą tylko na drugim miejscu.
Halfrich myślał nad tym przez jakiś czas. Potem jednak pokręcił przecząco głową.
— Nie. Rozbiliśmy sobie palec. Dowiedzieliśmy się, że nie jesteśmy i nigdy nie będziemy wyłącznymi dziedzicami wszechświata. Niech tak będzie. Zaakceptujemy ten fakt i ruszymy dalej. Planety będą nasze, nic tu się nie zmieni. A pewnego dnia… — przerwał, a potem mówił dalej: — …pewnego dnia, może, dzieci gwiazd i synowie planet podadzą sobie ręce, poznając się nawzajem. Nie, Kellard. Powiemy im.

KONIEC